



Antoni Tomaszek (1889 - 1939)

Nadleśniczy ANTONI TOMASZEK

(1889-1939)



óJ Ojciec Antoni Tomaszek urodził się 8 czerwca 1889 r. w Wadowicach, niedaleko Krakowa, na terenie tzw. Galicji pozostającej w latach 1772-1918 pod zaborem austriackim. Był synem Adama i Eufemii z domu Długaj, najmłodszym spośród siedmiorga dzieci. Źródłem utrzymania rodziny był sklep kolonialny, który prowadzili rodzice Ojca.

Kiedy Antoni miał cztery lata, zmarł jego ojciec. Szkołę Powszechną ukończył w Wadowicach, a średnią w Krakowie. Na studia dostał się dzięki dużej zapobiegliwości matki, naszej babci Eufemii. Znała doskonale język niemiecki i jak wieść rodzinna niesie, dotarła nawet do samego Franza Josepha I w Wiedniu co zaowocowało tym, że syn Antoni dostał się na studia w słynnej Hochschule für Bodenkultur w Wiedniu (Wyższa Szkoła Rolnicza, często błędnie tłumaczona jest, również przed II wojną światową, jako „Wyższa Szkoła Ziemiańska”). Sponsorem tego etapu kształcenia był książę Franciszek Radziwiłł. W zamian za finansowanie studiów student zobowiązany był do rozliczenia się z postępów w nauce oraz odbycia praktyk leśnych we wskazanym mu miejscu. Z zachowanych dokumentów wynika, że Antoni praktykował leśnictwo w wielu miejscach: Tęczynku u hrabiego Tęczyńskiego (1911), w Pcimiu u księcia Kazimierza Lubomirskiego (1912), w Krakowie u księcia Franciszka Radziwiłła (1912), w Königsberg Schlos Steinhoff Georg Freicherr Haas von Hasenfels (1913), w Podciemnem blisko Lwowa u hr. Romana Potockiego (1914), w Nagawczynie koło Dębicy u hr. Edwarda Raczyńskiego (1918) oraz w Krasieczynie u księcia Leona Sapiehy (1919).

Równocześnie młody Antoni Tomaszek uczestniczył w przedsięwzięciach o charakterze wojskowym. W latach 1912-1914 działał w Polskich Drużynach Strzeleckich, w latach 1914-1916 w Legionach Piłsudskiego, a w latach 1916-1918 był powołany i służył w Armii Austriackiej.

Kiedy w 1918 roku odbywał praktyki leśne w Nagawczynie koło Dębicy, poznał córkę administratora tamtejszych dóbr, dwudziestoletnią Zofię Sękowską która uczyła się wówczas w Seminarium Nauczycielskim u Sióstr Nazaretanek w Krakowie, gdzie również zdobywała umiejętności gry na pianinie. Antoni i Zofia bardzo się sobie spodobali. Był okres letnich wakacji, spotykali się często. Zaręczyli się. Po wakacjach Zofia kontynuowała naukę w Krakowie, a Antoni już z dyplomem inżyniera leśnika, po odbytych praktykach zawodowych i odsłużeniu wojska otrzymał propozycję pracy w Krasieczynie koło Przemyśla, w dobrach księcia Leona Sapiehy. Jednak pracy tej nie przyjął, chciał bowiem pracować w lasach państwowych. I tak się wkrótce stało, przyjął służbę nadleśniczego

w Nadleśnictwie Państwowym Mirachowo na Kaszubach, na terenie Dyrekcji Lasów Państwowych w Toruniu. Zlikwidował wówczas mieszkanie w Wadowicach i przywiózł swoją matkę do nowego miejsca pracy i zamieszkania. A praca nie była łatwa. Długo trwało, nim zdobył zaufanie miejscowej ludności kaszubskiej, bowiem naród to twardy i nieufny wobec przyjezdnych.

Tymczasem Zofia kończyła naukę w Krakowie. Maturę zdała z wyróżnieniem. Wtedy przyjechał narzeczony. Wzięli cichy ślub, bo czasy były powojenne, ciężkie. Zabrał żonę do siebie do Mirachowa, gdzie czekało ich zupełnie inne życie, inne warunki, nawet inny klimat.

Antoni Tomaszek był nadleśniczym Nadleśnictwa Mirachowo od kwietnia 1920 roku do stycznia 1928. W tym czasie w małżeństwie Tomaszków urodziło się troje dzieci: Andrzej, Maria i Stanisław. Prawdopodobnie jednak rodzina nie najlepiej znosiła nadmorski klimat, więc Ojciec postanowił przenieść się gdzieś w głąb kraju.

NADLEŚNICTWO KONSTANCJEWÓ

Wybór padł na Nadleśnictwo Konstancjewo w tym samym województwie pomorskim, także w Dyrekcji Lasów Państwowych w Toruniu. Najbliższym miastem w nowym miejscu zamieszkania był odległy o siedem kilometrów Golub. Dom mieszkalny w Konstancjewie był duży, jednopiętrowy, składał się z dziewięciu pomieszczeń i werandy. Przy domu był ogród, w którym Ojciec założył sporą pasiekę na kilkanaście uli. Biuro nadleśnictwa mieściło się w przybudówce zabudowań gospodarczych. Pracownicy biura mieszkali w tzw. sekretarzówce usytuowanej przy trakcie wiodącym do Golubia. Leśniczówki były znacznie oddalone od siedziby nadleśnictwa. Jedynie leśniczówka Leśnictwa Bobrowisko zlokalizowana nad Drwęcą była odległa zaledwie o półtora kilometra od naszego domu. Ojciec miał w domu swój gabinet z telefonem i sporą biblioteką, gdzie przyjmował interesantów. Obok gabinetu był jeszcze pokój inspektorski.

Jak pamiętam, od zawsze mieszkała z nami matka naszego Ojca, babcia Eufemia, którą on szanował i bardzo kochał. Rodzice byli zgodni, nigdy nie słyszeliśmy kłótni, czy podniesionego głosu. Codziennie wieczorem klękali i wspólnie modlili się przed snem. Bywali u nas goście, odbywały się spotkania towarzyskie, ale nigdy nie widziałam Ojca pijanego, natomiast jego pasją była gra w brydża. Z grona znajomych pamiętam okolicznych właścicieli ziemskich – Prabuczych (majątek Nowa Wieś) i Rzyskich (dzierżawcy majątku Pusta Dąbrówka). Za Drwęcą mieszkał znajomy Ojca, senator Jan Rudowski, wybitny działacz rolniczy, ziemianin i polityk. Córka Rudowskiego przyjaźniła się z Wandą Piłsudską, córką Marszałka. Obie jeździły konno i odwiedzały czasem nasze nadleśnictwo.

Rodzice mieli z nadleśnictwa deputat – pole orne i łąki, wszystko starannie zagospodarowane. W gospodarstwie był zatrudniany gospodarz Sikorski i jesz-



Zofia i Antoni Tomaszowie (w środku) z wizytą u Państwa Rzyskich w majątku Pusta Dąbrówka w 1938 roku. Fot. archiwum Jadwigi Tomczak



Nadleśniczy Antoni Tomaszek (stoi pierwszy z prawej) z rodziną przed domem mieszkalnym w Konstancjewie, latem 1938 roku. Fot. archiwum Jadwigi Tomczak

cze pomocnik ze wsi do cięższych prac gospodarskich. Było dziesięć krów, cztery konie, chlew pełen świń. Było też zawsze liczne stado wszelkiego drobiu – kur, indyków, kaczek, perliczek i gęsi. W gołębniku nad naszą sypialnią gruchały gołębie. Ojciec był myśliwym i miał cztery psy o charakterystycznych imionach: Karo, Kier, Pik i Trefl. Całym tym gospodarstwem zajmowała się Mama, czyniła potrzebne uzgodnienia, doglądała prac i dbała o sprzedaż nadwyżki produktów rolnych i rozliczeń z pracownikami. Mama też założyła warzywnik i szparagarnię, a przed werandą, gdzie w dużej mierze toczyło się latem nasze codzienne życie, był ogromny i piękny klomb z kwiatami. W ogrodzie, w miejscu zacienionym funkcjonowała swoista chłodnia-lodownia, gdzie zimą, na dużej głębokości zakopywano w trocinach bryły lodu, przywożone z Drwęcy. Największym mankamentem osady leśnej w Konstancjewie był brak elektryczności. Wieczorny obrządek wykonywano przy lampach naftowych i latarkach wyposażonych w zwykłe świece.

Z lokalnych wydarzeń pamiętam, że w 1937 roku, z inicjatywy rodziców wybudowano nieopodal siedziby nadleśnictwa kapliczkę z Matką Boską i wówczas na zaproszenie rodziców przybył do Konstancjewa ksiądz proboszcz, Bronisław Kownacki z Golubia, żeby ten obiekt sakralny poświęcić. Wiem, że kapliczka stoi do dziś, służy ludziom i jest zadbana.

WOJNA I OKUPACJA

Tuż przed wojną ja i moje rodzeństwo uczęszczaliśmy do różnych szkół z dala od domu. Najstarszy Andrzej uczył się w Gimnazjum we Włocławku, Marysia u Sióstr Urszulanek w Kościerzynie, brat Staś i ja w Szkole Powszechnej w Kartuzach, gdzie mieszkała i uczyła nasza ciocia Stefa. Na wakacje 1939 roku zjechaliśmy wszyscy, cała czwórka, do rodzinnego domu w Konstancjewie. Przyjechały również siostry Ojca, Stefa, Zofia i Elżbieta, z zawodu nauczycielki. W wakacyjną beztroskę wdzierał się jednak niepokój i poczucie zagrożenia. Dorośli, radio i gazety często rozprawiali o możliwej wojnie.

Pierwszego września już o ósmej rano Ojciec odebrał telefon z informacją, że „Niemcy wdarli się w granice Polski i należy natychmiast przystąpić do ewakuacji”. Ustalono, że najpierw pojedą rodziny leśników, a nadleśniczy i leśniczowie po zabezpieczeniu swoich placówek i dokumentów wyruszą za nimi w kierunku na Warszawę, a dalej na Włodzimierz Wołyński. Gdyby nie ta ewakuacja, nie wiedzielibyśmy, co to bomby, strach, trupy ludzkie, końskie, co to wojna, głód, brak snu i dachu nad głową. Prawie miesiąc trwała włączęga, zanim z powrotem znaleźliśmy się w domu. Ojciec wrócił przed nami i już tracił nadzieję, że nas jeszcze zobaczy wśród żywych. Toteż radość spotkania była ogromna, jednak nie trwała długo. Kończył się wtedy ciepły wrzesień, gdy Ojciec wyjechał bryczką do lasu. Długo nie wracał, a my czekaliśmy z rosnącym niepokojem. Nastąpiła

noc, zaczęliśmy się modlić na różańcu. To była strasznie długa noc. Dopiero rano zajechała pod dom bryczka księdza z Kurkocina, czy z Dębowej Łąki. Przywieźli zmaltretowanego Ojca. Powiedział nam, że zatrzymali go uzbrojeni Niemcy, kazali wysiadać, bili po twarzy. Później zaprowadzili Ojca do piwnicy młyna i wraz z innymi zatrzymanymi mężczyznami-Polakami kazali szuflować ziarno. Oprawcy bili Ojca gumowymi pałami aż do utraty przytomności. Teraz z trudem wysiadł z bryczki. Widzieliśmy jego zmasakrowane plecy. Z bólu nie mógł ani siedzieć, ani leżeć. Cierpieniem był każdy ruch.

Niemcy nie dali Ojcu spokoju. Byli to ludzie z osławionego zbrodniami na Polakach Selbstschutzu. Nie znaliśmy ich, chociaż rekrutowali się z miejscowej mniejszości niemieckiej, przez co byli szczególnie niebezpieczni, znali bowiem lokalne uwarunkowania społeczne i co wybitniejszych przedstawicieli polskiego społeczeństwa. Jesienią 1939 roku wyróżnili się w zbrodniach na polskiej inteligencji. W Konstancjewie zjawili się po trzech dniach uzbrojeni w karabiny. Obstawili dom i bez słowa wyjaśnienia nakazali Ojcu i jechać z nimi. Nigdy nie zapomnę naszego pożegnania. Wszyscy płakaliśmy. Tato najdłużej żegnał się z Mamą: „Ja wrócę – mówił – nie płacz, ja wrócę.” I tak nagle zostaliśmy sami: sparaliżowana 82-letnia babcia Eufemia, mama (39 lat – urodzona w 1900 roku), najstarszy 17-letni Andrzej, 15-letnia Marysia, 13-letni Staś i ja, 10-letnia Jadwiga. Była wtedy też z nami siostra Ojca, ciocia Stefa.

Czekaliśmy na Ojca, jednak on nie wracał. Pojawiły się pogłoski, że jest więziony w obiektach Państwowego Przedsiębiorstwa Gumowego (PPG) w Wąbrzeźnie. Nie była to jednak oficjalna wiadomość. Postanowiliśmy sami sprawdzić. Pewnego dnia pojechaliśmy we dwie z Mamą do Wąbrzeźna z nadzieją spotkania Ojca. Nie wiem już, jak to się stało, że zobaczyliśmy go w okienku na ostatnim trzecim piętrze budynku należącego do zakładów PPG. On też nas zauważył i pokiwał ręką. Tak upewniliśmy się, że Ojciec jest więziony w Wąbrzeźnie.

FORSTMEISTER GENE

Tymczasem w Nadleśnictwie Konstancjewe pojawiło się dwóch nowych Niemców przybyłych z Rzeszy. Przedstawili się nam jako forstmeister Gene (wymowa „Żene”) i sekretarz Reis. Stwierdzili, że przyjechali z Niemiec i obejmują nadleśnictwo. Mama dobrze znała niemiecki jeszcze ze szkoły, dlatego z komunikacją nie było problemu. Panowie ci byli najpierw uprzejmi i grzeczni. Posiłki dla całej naszej rodziny oraz dla dwóch przybyłych niemieckich leśników robiła ciocia Stefa. Wieczorami forstmeister rozmawiał z Mamą o naszym Ojcu. Dziwił się i nie rozumiał, jak mógł być aresztowany bez jakiegokolwiek winy. Obiecał, że pojedzie do Wąbrzeźna, by interweniować w jego sprawie. Jak powiedział, tak zrobił. Pojechał do Wąbrzeźna, a tam mu powiedzieli, żeby od sprawy aresztowania polskiego nadleśniczego Tomaszka trzymał się z daleka, jeśli sam nie chce

trafić do więzienia. Od tego dnia Gene stał się wobec nas oficjalny i niedostępny. Oznajmił też mamie, że niebawem przyjedzie z Niemiec jego żona z córkami. Stało się jasne, że dla nas w nadleśnictwie miejsca już nie będzie.

Kończył się październik, zrobiło się chłodno. Mama zapakowała ciepłą bieleźnię dla Ojca i zawiozła do miejsca aresztu (PPG) w Wąbrzeźnie. Tam jednak powiedzieli, że Antoniego Tomaszka nie ma, bo „pojechał doglądać prac leśnych”. Nawet przez myśl nam nie przeszło, że mógł już nie żyć. Ciągłe wierzyliśmy, że do nas wróci. Mama opowiadała mi później, że pamięta taką rozmowę z Ojcem, jeszcze sprzed wojny, kiedy on powiedział: „Wiesz, bardzo kocham las i lubię w nim przebywać. Nie zamieniłbym tej pracy na żadną inną. Tu jestem na właściwym miejscu. Kiedyś, gdy już umrę nie chciałbym leżeć na cmentarzu. Wolałbym spocząć w lesie, pośród drzew”.

EKSMISJA, PRACA, „PRUEFUNG”

Tymczasem, do Nadleśnictwa Konstancjowo przyjechała żona forstmeistra Gene z córkami i zażądała natychmiastowej eksmisji naszej rodziny. Sprowadziła policję z Golubia i osobiście dyrygowała, co z naszych rzeczy możemy zabrać, a co ma pozostać. Mama z trudem znalazła mieszkanie w Dobrznieniu. Było zaniebane, z karaluchami i pluskwami. Pilną sprawą było też znalezienie jakiegokolwiek zatrudnienia, bo w przeciwnym wypadku moglibyśmy trafić na przymusowe roboty na terenie Niemiec. Najstarszy 17-letni Andrzej pracował już jako robotnik leśny, a później po przeprowadzce do kolejnego mieszkania w Golubiu dostał pracę w miejscowej mleczarni. Marysię (lat 15) przyjął do pracy właściciel sklepu żelaznego, a Staś (lat 13) znalazł zatrudnienie w piekarni. Ja, jako najmłodsze 10-letnie dziecko uczęszczałam do szkoły niemieckiej. Cały czas mieszkała z nami mama Ojca, babcia Eufemia. Podupadła jednak bardziej na zdrowiu. Paraliż pogłębił się, była unieruchomiona w łóżku. Warunki naszego życia były teraz trudne. Mieszkanie zimne, wodę donosiliśmy wiadrami z dworu. W 1942 roku babcia zmarła.

Przyszedł czas, że Niemcy zaczęli wzywać rodziny polskie na tzw. Pruefung (z niem. - egzamin, odpytanie), żeby zapisać je na niemiecką listę narodowościową. Kto listę podpisał, zyskiwał uprawnienia niemieckie, w tym kartki żywnościowe. Właściciele sklepów, warsztatów, czy innej własności, podpisywali listę, żeby ratować dorobek życia i zachować źródło utrzymania swoich rodzin. Naszą rodzinę też Niemcy wezwali, ale Mama powiedziała, że nie może decydować bez męża w tak ważnej sprawie. Uzyskała odpowiedź, że „mąż to poboczna sprawa, a ma przecież dzieci, które powinny się dalej uczyć”. Mama jednak nie podpisała listy i już na drugi dzień w szkole nauczycielka kazała mi zabrać teczkę i iść do domu. Wszyscy wiedzieliśmy, że Niemcom nie chodziło o naszą naukę, ale o dorastających chłopców, którzy – po podpisaniu listy – trafiali do Wehrmachtu i na front wschodni.

„MY WAS OSWOBODZILI”

Styczeń 1945 roku był bardzo mroźny. Ze wschodu zbliżały się do Golubia działania wojenne. Przez miasto przetaczały się tłumy niemieckich uciekinierów na wozach konnych wypełnionych dobytkiem i ludźmi, jak ich określano wówczas „Bessarabiendeutsche”. Były wśród nich też dzieci. Pamiętam, że Mama częstowała ich gorącą kawą z mlekiem. Nie wszyscy jednak przyjmowali, może bali się, że zatrute? Miejscowi Niemcy wymykali się z Golubia cichaczem. Nie wiadomo, kiedy i czym. Niejeden z nich miał wiele na sumieniu.

Front wojenny przeszedł przez miasto nagle. Było tylko kilka artyleryjskich salw, z których część trafiła w wieżę kościelną, chociaż z tej strony nic Armii Czerwonej nie zagrażało. My ukryliśmy się z grupą ludzi w piwnicy apteki w Dobrzyniu. 23 stycznia 1945 roku rano rosyjscy żołnierze wkroczyli do Dobrzynia, wybili szyby w piekarni i tak wchodzili do środka. Do naszego mieszkania wszedł jakiś rosyjski żołnierz stwierdziwszy: „my was oswobodzili”, położył się na kanapie i zaraz zasnął. Podobnie było w sąsiednich domach. Moje rodzeństwo, Marysia i Andrzej, zgłosili się do Czerwonego Krzyża i pomagali lekarzowi przy ratowaniu rannych i w opiece nad ciężko chorymi.

W mieszkaniu Jentkiewiczów, właścicieli sklepu żelaznego, u których pracowała w czasie okupacji moja siostra Marysia, zamieszkał rosyjski komendant wojskowy Golubia, niejaki Szulgin. Kazał on sobie donosić obiad przez córkę gospodarzy, 19-letnią Agusię, która była bardzo piękną dziewczyną. Pewnego dnia, gdy zaniósła obiad, Szulgin zamknął za nią drzwi na klucz i za chwilę rozległ się strzał. Agusię znaleziono z przestreloną głową. Był to ogromny wstrząs dla całego miasta. Rosyjski oficer szybko wyprowadził się z Golubia, nie poniósł jednak za tę zbrodnię żadnych konsekwencji. Co ciekawe, o tym komendancie i jego zbrodni nie wspomina później i obecnie, żadna oficjalna historia Golubia.

Zaraz za oddziałami frontowymi w Golubiu pojawiły się grupy operacyjne sowieckich organów bezpieczeństwa wewnętrznego NKWD. Wykorzystując przedstawicieli miejscowej ludności, często opierając się na niesprawdzonych donosach, a czasem tylko za to, że ktoś był gospodarny, pracowity i posiadał jakąś własność – przeprowadzili aresztowania i akcję wywozową do łagrów w Rosji sowieckiej. Aresztowanych w Golubiu formowano w kolumnę i pod karabinami prowadzono najpierw do Kowalewa Pomorskiego, potem z powrotem do Golubia i w kierunku Ciechanowa. Była mroźna zima. Niektórych aresztowanych ograbiono z ciepłej odzieży, traktowano brutalnie i przetrzymywano w fatalnych warunkach tak, że część z nich zmarła już na terenie Polski, a część w transporcie kolejowym na wschód. W tej grupie znaleźli się m.in. stomatolog z Golubia doktor Franciszek Holz i właściciel sklepu kolonialnego Stefan Olszewski, u którego w czasie okupacji pracował mój brat Andrzej, a później również ja. Obydwaj zginęli już w Ciechanowie. A muszę powiedzieć, że pan Olszewski bardzo pomagał

naszej rodzinie przez całą okupację. Wydobył m.in. nasze pianino z nadleśnictwa, dzięki czemu Mama udzielała na nim lekcji gry i w ten sposób zarabiała na życie.

Wśród aresztowanych przez Rosjan był też Stefan Szymkowski – leśniczy z Tokar w Nadleśnictwie Konstancjewe, który nie przeżył trudów zimowej deportacji w bydłym wagonie do sowieckiego obozu pracy. Zmarł w transporcie na wschód w 1945 roku¹.

MIEJSCE PAMIĘCI NARODOWEJ ŁOPATKI

Wkrótce po zakończeniu wojny Mama otrzymała ze ZBoWiD-u zawiadomienie, że odbędzie się ekshumacja zbiorowych mogił Polaków pomordowanych przez Niemców w pierwszych miesiącach wojny w Łopatkach koło Wąbrzeźna. Zapytano, czy chciałaby w ekshumacji uczestniczyć, gdyż spodziewano się odnaleźć tam również zwłoki jej męża Antoniego Tomaszka. Mama nie zdecydowała się na udział w identyfikacji, obawiała się, że jej serce tego nie przetrzyma. Po wojnie Mama mieszkała w Golubiu. Otrzymała emeryturę po Ojcu, ale była ona tak skromna, że listonosz mówił: „Wstydzę się przychodzić do pani z takimi pieniędzmi”.

Do Łopatek pojechałam dopiero w końcu lat siedemdziesiątych XX wieku. Przybyliśmy samochodem ze Szczecina, gdzie mieszkałam z moją rodziną. W Golubiu zabraliśmy Mamę i ruszyliśmy w kierunku Wąbrzeźna. Za Wąbrzeźnem, jadąc w kierunku Jabłonowa, stoi przy drodze charakterystyczny znak z dwoma



Miejsce Pamięci Narodowej w Łopatkach koło Wąbrzeźna. Jesienią 1939 roku Niemcy zamordowali tu co najmniej 2,5 tysiąca Polaków. Tu zginął również nadleśniczy Antoni Tomaszek. Fot. archiwum Dyrekcji Lasów Państwowych w Toruniu

mieczami, wskazujący na znajdujące się w lesie Miejsce Pamięci Narodowej Łopatki. Skręciliśmy w lewo i niebawem ukazał się naszym oczom pomnik, przy którym zastaliśmy młodzież z pobliskiej szkoły, która wraz ze swoim nauczycielem zajmowała się porządkowaniem terenu pomnika i otoczenia. Nauczyciel opowiedział nam, że jesienią 1939 roku ludzie z pobliskiej wsi Książki widzieli co jakiś czas samochód ciężarowy z plandeką, przyjeżdżający z kierunku Wąbrzeźna i wjeżdżający do lasu. Kilku z nich ukryło się w lesie i obserwowało przebieg wydarzeń. Pod plandeką byli przewożeni ludzie pilnowani przez uzbrojonych Niemców. W lesie był już przygotowany dół, a nieopodal stał karabin maszynowy. Ludzie ze wsi słyszeli strzały. Później pusty samochód wracał do Wąbrzeźna.

Dowiedzieliśmy się też, że wtedy po wojnie nie doszło do ekshumacji. Niemcy przed nadejściem frontu, jeszcze w 1944 roku, odkopali i spalili zwłoki, zacierając ślady swoich strasznych zbrodni. Po raz kolejny pojechaliśmy do Łopatek po pogrzebie Mamy, w 1986 roku.

PORTRET NA ŚCIANIE

Po wojnie Mama została w Golubiu, aż do śmierci w 1986 roku. Początkowo mieszkał tam też brat Andrzej, który po ukończeniu szkoły związał się zawodowo ze Spółdzielnią „Samopomoc Chłopska”. Ożenił się, założył rodzinę, później przeniósł się do Gdańska, gdzie zmarł po ciężkiej chorobie w 1996 roku. Siostra Marysia i ja zamieszkałyśmy w Bursie Leśnika w Toruniu przy ul. Mickiewicza 5, w pobliżu siedziby Dyrekcji Lasów Państwowych. Marysia uczęszczała do liceum im. Żeromskiego. Była wybitnie uzdolniona w przedmiotach ścisłych. Pracowała jako księgowa. Wyszła za mąż i zamieszkała w Szczecinie. Zmarła nagle, w 1962 roku, co dla nas wszystkich, a szczególnie dla Mamy, było ogromną tragedią.

Drugi brat Stanisław ukończył przed wojną sześć klas Szkoły Powszechnej. Od 13. roku życia, w czasie okupacji, już pracował w golubskiej piekarni. Po wojnie uczęszczał do Liceum Ogólnokształcącego im. Żeromskiego w Toruniu (tak jak Marysia) i mieszkał w Bursie Leśnika. Krótco pracował w dziale urządzania lasu w Dyrekcji Lasów Państwowych w Toruniu. Później, z wielkimi kłopotami, ze względu na „niewłaściwe pochodzenie” dostał się na Politechnikę Gdańską na Wydział Architektury. Ożenił się, założył rodzinę. Doszedł do stanowiska profesora na Uniwersytecie Śląskim, gdzie do dzisiaj jeszcze prowadzi wykłady.

Ja zaraz po wojnie zamieszkałam razem z Marysią w Bursie Leśnika w Toruniu i w tym mieście ukończyłam szkołę pedagogiczną. W 1949 roku otrzymałam skierowanie do pracy w Sudetach, niedaleko Wałbrzycha. Uczyłam dzieci z rodzin greckich, które przybyły wówczas na stałe do Polski. Po kilku latach cały ten ośrodek przeniesiono do Polic koło Szczecina. Wysłam za mąż za nauczyciela. Mamy syna Marka. Od 1962 roku zamieszkaliśmy w Szczecinie, gdzie pracowałam w bibliotece, aż do emerytury w 1990 roku. Mąż zmarł nagle w 1993 roku.



Nadleśniczy Antoni Tomaszek (1889-1939).
Fot. archiwum Jadwigi Tomczak

Dzisiaj, nikt z dzieci Antoniego Tomaszka i licznych jego wnuków nie pracuje w zawodzie leśnika, który tak ukochał nasz Ojciec, ostatni przedwojenny nadleśniczy Nadleśnictwa Konstancjewo. Ojciec jest jednak wciąż obecny w naszych sercach i myślach. Jego portret w mundurze leśnika polskiego zajmuje honorowe miejsce w moim domu.

Jadwiga Tomczak

¹Z Pomorza władze sowieckie deportowały w 1945 roku około 16 tysięcy polskich obywateli do obozów koncentracyjnych w ZSRR. Z tej liczby zginęło, bądź zmarło w wyniku ciężkich warunków transportu, pracy, niedożywienia, skrajnego wycieńczenia i chorób, co najmniej trzy tysiące osób.